

Biografia Montse. Cz. 4 - Podróż do Rzymu

Montse wielokrotnie pokazywała, jak bardzo zależy jej na podróży do Rzymu. Chciała poznać papieża i ks. Josémaríę Escrivę, założyciela Opus Dei. Rodzice postanowili spełnić to marzenie.

01-06-2007

Podróż do Rzymu

Pomimo, że ból nogi z każdym dniem stawał się coraz silniejszy i trudny do zniesienia, Montse mogła

zrealizować jedno ze swoich największych marzeń: odwiedzić Rzym. „Katolicki, apostolski, rzymski! – Cieszy mnie, że jesteś bardzo rzymski. I że pragniesz odbyć swoją «pielgrzymkę do Rzymu», *videre Petrum* – aby zobaczyć Piotra”[1].

Montse wielokrotnie pokazywała, jak bardzo zależy jej na podróży do Rzymu. Chciała poznać papieża i ks. Josémaríę Escrivę, założyciela Opus Dei. Rodzice postanowili spełnić to marzenie.

Radość Montse była ogromna: „Co jeszcze muszę zabrać? Wiem, buty na obcasach. Chociaż właściwie nie jestem już w stanie założyć ich na nogi, to w Rzymie muszę to zrobić”.

11 listopada wyleciała samolotem z lotniska w Barcelonie. Rodzice odprowadzili ją na lotnisko. Szła, utykając, ale szczęśliwa i kiedy wchodziła już na pokład samolotu, odwróciła się, by pomachać

wszystkim, którzy przyszli ją
pożegnać.

Podróż nie była zbyt wygodna,
ponieważ musiała dwukrotnie się
przesiadać: w Nicei oraz w
Mediolanie. Ponadto na ostatnim
odcinku rozszalała się silna burza, co
wywołało nerwowość na pokładzie
samolotu. „A Ty, Montse, co wtedy
robiłaś?” – zapytała ją matka po
powrocie. „Myślałam o tym, że już
prawie jestem nad Rzymem, a kto
wie, może nie uda mi się zobaczyć
Ojca. Wyobrażasz sobie?!... o iluż to
już rzeczach w tym życiu marzyłam i
musiałam się rozstać z moimi
pragnieniami!”

W liście, który napisała z Rzymu do
swojego taty, mówi: „Co się tyczy
podróży samolotem, to wszystko Ci
opowiem ze szczegółami po
powrocie. Teraz tylko wspomnę tyle,
że podczas lotu z Mediolanu do
Rzymu, rozpętała się nie lada burza.

Samolot tańczył na wszystkie strony. Nie ma co ukrywać – bałam się potwornie i było mi niedobrze. Ale kiedy tylko doleciałam na miejsce, burza przeszła. Na lotnisku czekała na mnie Pepa. Bardzo mnie to ucieszyło. A tak, poza tym, to bardzo tu mnie kochają i dbają o mnie.”

Podczas pobytu w Rzymie Montse zamieszkała w *Villa delle Palme*, akademiku dla studentek, prowadzonym przez panie z Opus Dei. Swoje pierwsze kroki w Rzymie Montse skierowała do Bazyliki Świętego Piotra, w której chciała zmówić *Credo* w intencjach Ojca Świętego.

Następnego dnia miała okazję poznać założyciela Opus Dei. Opowiada o tym w liście do matki: „Skierowaliśmy się do sali, w której przyjął nas Ojciec; zapytał mnie o rodziców i rodzeństwo. Powiedziałam, że wszyscy macie się

doskonale. Przeszliśmy do galerii, gdzie zrobiono nam dwa zdjęcia, aby można było wysłać je Wam na pamiątkę. To znaczy, że tata wkrótce je otrzyma. Ale ładny gest, nie uważasz?!”

Było to bardzo serdeczne i miłe spotkanie. Razem z Montse była też jedna z dyrektorek Opus Dei z Rzymu– Encarnita Ortega, która wspominała, że założyciel Dzieła miał ciemne okulary, zapewne po to, aby nie widać było, że to spotkanie z jego córką było dla niego wielkim przeżyciem i wywołało w nim silne wzruszenie. Św. Josémaría opowiedział jej o chrześcijańskim sensie choroby i cierpienia, a także o tym, by prosiła Pana o uzdrowienie, a jeśli go dostąpi, niech obieca Panu, że będzie Mu wierna aż do końca swego życia. Kiedy Ojciec zaczął udzielać jej błogosławieństwa, Montse chciała uklęknąć na kolana, jednak nie pozwolił jej tego uczynić.

Położył jej ręce na głowie i uczynił znak krzyża na czole, a stojąc już w drzwiach, odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na Montse wzrokiem pełnym czułości dla tego swojego dziecka, którego droga do Nieba była już niejako rozpoczęta.

Te cztery dni, które spędziła w Rzymie, pozostawiły w jej duszy głęboki ślad. Miała ponadto okazję poznać i doświadczyć ciepła rodzinnego, widząc zespolone w jednym duchu dziewczęta z Opus Dei, pochodzące z tak różnych krajów, narodowości, w tak różnym wieku i z tak odmiennymi temperamentami. „Nie możesz sobie wyobrazić – pisze do matki – było nas bardzo wiele i z tak wielu miejsc: jedna Wenezuelka, jedna z Gwatemali, jedna z Peru.” Te wszystkie szczegóły, które zapadły w jej pamięci i w jej duszy, pomagały jej pokonywać z jeszcze większą pogodą ducha cierpienia, które Pan dopuścił.

W drodze powrotnej, już z samolotu lecącego do Barcelony, wysłała do Encarnity Ortegi kartkę, w której pisała: „Podróż wspaniała. Wszystko idzie doskonale. Właśnie dolatuję na miejsce i jestem gotowa na *wszystko*, co warte jest uczynienia. Montse”.

Jedną z rzeczy, które najbardziej zachwyciły w Montse, była jej stała troska o innych i wsłuchiwanie się w ich potrzeby. Pomimo swej choroby zawsze była otwarta i pełna delikatności w małych sprawach życia codziennego. Jej brat Nacho miał wielką pasję i hobby: zbieranie kapsli od butelek. Zlecił Montse, aby przywiozła mu jak najwięcej kapsli z Rzymu, o czym Montse, wiedząc, jak bardzo mu na tym zależało, dobrze pamiętała. W liście do taty pisała: „Powiedz Nacho, że sprawa z kapslami jest w dobrych rękach i na pewno przywiozę całe mnóstwo tych skarbów”. Tak więc Montse, spacerując ulicami Rzymu, pamiętała

o Nacho i gdy tylko przechodziła obok jakiegoś baru, bacznie się przyglądała, czy nie leżą tam kapsle, które mogłaby zawieźć bratu.

Niejednokrotnie nachylała się z trudem, by je podnieść. W liście adresowanym z Rzymu 19 listopada opowiadała swoim przyjaciółkom o radości, jaką sprawiły jej bratu rzymskie znaleziska: „Kiedy przyjechałam do domu, mimo że mama nie chciała, żebym od razu rozpakowywała wszystkie rzeczy, było to po prostu niemożliwe.

Zresztą sama też bardzo chciałam jak najszybciej obdarować wszystkich prezentami. Było tam wszystko: balony, gumy do żucia, cukierki, kapsle. Ignacio zwariował z radości i szczęścia, przeliczając te wszystkie drobiazgi wciąż od początku”.

Ponadto przywiozła z Rzymu dwa, różnej wielkości osiołki z sakwami na grzbiecie. „Powiedzieli mi, że muszę wypełnić sakwy „małymi

rzeczami” – mówiła, przypominając punkt 819 „Drogi” św. Josémaríi: „Ponieważ byłeś *in pauca fidelis* – wierny w rzeczach małych, wejdź do radości twego Pana. Są to słowa Chrystusa – *in pauca fidelis*. Czy nadal będziesz lekceważyć małe rzeczy, wiedząc, że ci, którzy je zachowują, wejdą do chwały niebieskiej?” Wskazując na mniejszego osiołka, mówiła: „tego jeszcze mogę naładować, ale tamten jest większy” i wkładała palec do sakwy, aby pokazać, jak bardzo była głęboka.

Po powrocie z Rzymu Montse podupadła na zdrowiu. Czyniła niesamowity wysiłek, docierając do kościoła, w którym odbywała się nowenna przed Świętem Niepokalanego Poczęcia NMP. Trzeba było ją przywozić, ponieważ o własnych siłach nie była w stanie zrobić nawet jednego kroku. „Przywoziłam ją czasami taksówką –

mówi jedna z jej przyjaciółek – z tego względu, że nie mogła się poruszać; w zależności od rodzaju samochodu, niekiedy było bardzo trudno ją usadzić, a ona zabawnie to komentowała: «Ja to potrzebuję taksówek robionych na wymiar»”.

„Dnia 24 grudnia – opowiada jej matka – myśleliśmy, że będzie mogła pojechać na pasterkę do *Llaru*, tymczasem właśnie wtedy przysłano specjalny lek, który wywołał silne torsje trwające około 4 godzin. Chociaż tak bardzo pragnęła być na tej mszy świętej, to z powodu nudności wywołanych przez lekarstwo nie mogła uczestniczyć w uroczystości. Montse bardzo to przeżywała. Jednak pokornie, nie skarżąc się ani przez chwilę, zaakceptowała to leczenie, tak bardzo dokuczliwe i męczące. Aż do wczesnych godzin porannych męczyła się niesamowicie”.

Tymczasem lekarze próbowali zahamować szybkie postępowanie choroby i przepisali jakieś zastrzyki. Jedna z przyjaciółek zaoferowała się robić te zastrzyki, lecz wykonując je, nie zwróciła uwagi, że było to po stronie chorej nogi i jak to się zwykle czyni, mocno rozmasowała miejsce nakłucia. Kiedy skończyła, Montse ze łzami w oczach, wtuliła się w ramiona matki, ponieważ bardzo ją bolało. Szybko jednak skomentowała: „Nie. Nic mi nie zrobiłaś; po prostu to ta lewa strona”.

15 lutego wyszła z domu po raz ostatni. 14 lutego przypadała rocznica dnia, w którym założyciel Opus Dei zrozumiał, że w Dziele powinny być również kobiety. Przewieziono ją do *Llaru* z wielkim trudem, tak, że przyjechała na miejsce wycieńczona. Męczył ją każdy krok, a każde dotknięcie powodowało straszny ból. Nic nie mówiła, jednak można to było

wyczytać na jej twarzy. Mimo wszystko, kiedy w końcu dotarła na piętro i spotkała się ze swoimi przyjaciółkami, które tak bardzo lubiła, śmiała się i żartowała.

Wychodząc z ośrodka Opus Dei, pożegnała się ze wszystkimi, a do jego dyrektorki powiedziała stęsknionym głosem: „Zdajesz sobie sprawę, Lía?! Teraz to już naprawdę tutaj nie wrócę.”

Kilka dni później obcięli jej włosy, żeby było jej wygodniej. Ojciec zrobił jej parę zdjęć: „Patrzyłem na nią – mówi jej ojciec – i byłem zadziwiony. Bardzo szybko podążała drogą stopniowej identyfikacji z Bogiem, drogą upodobniania się do Niego, właściwie nie zdając sobie z tego sprawy. Byłem zdumiony, widząc, jak z dnia na dzień jest coraz bliżej takiej śmierci, której zawsze pragnąłem dla siebie samego, czyniąc to ze wspaniałą radością godną dobrego

chrześcijanina, który potrafi się oddać całkowicie i zapomnieć o sobie samym. Starła się, byśmy wszyscy byli zadowoleni i radośni. Nigdy nie zapomnę, jak pewnego razu byłem razem z nią w korytarzu, podczas gdy sprząтали jej pokój i musiała zauważyć u mnie jakiś gest żalu czy smutku, którego nie mogłem pohamować, widząc ją tak bardzo słabą: «Tatusiu, chodź, zatańczymy» – powiedziała i złapała mnie za rękę, żeby potańczyć przez kilka chwil”.

Codzienny rachunek sumienia

„Czytaliśmy – ty i ja – heroicznie pospolity żywot pewnego człowieka Bożego. – I widzieliśmy, jak przez miesiące i lata walczył (jakaż „buchalteria” jego szczegółowego rachunku sumienia!), podczas śniadania: jednego dnia zwyciężał, innego bywał zwyciężony ...

Odnutowywał: „nie jadłem masła...
jadłem masło!”[2]

Również Montse przeżywała własny *dramat masła*. Dzień w dzień, korzystając z pełnej wolności sumienia i kierując się cnotą wierności, odnotowywała porażki, uchybienia, małe niepowodzenia i przeciwności, walkę, aby zbliżyć się do miłości Boga. Z rachunku sumienia, który został zachowany jako wartościowa pamiątka w formie pisanej, dowiadujemy się, jak ta dziewczyna zbliżała się do Boga, poprzez stawianie sobie wymagań w małych, ale konkretnych rzeczach. Zdawała sobie sprawę, że, aby zwalczyć słabość, zapominanie, niechęć, a także rozniecić miłość Bożą, konieczne jest codzienne badanie własnego sumienia połączone ze stanowczym postanowieniem.

Co wieczór, dopóki tylko miała siłę, Montse spędzała chwile w obecności Boga, zadając sobie te pytania: „Co dzisiaj zrobiłam dobrego, co podobało się Bogu? Co zrobiłam, co Mu się nie podobało? Co mogłam zrobić lepiej?” I zawsze pojawiała się postanowienie, będące konsekwencją rachunku sumienia. Rozumiała doskonale, że jedynym sposobem, by nie oziębic się w miłości do Boga, jest ciągle dorzucanie do ognia: akty wiary, nadziei i miłości, Komunie Duchowe, akty zadośćuczynienia, akty strzeliste, konkretne uczynki z miłości do Boga oraz służenie ludziom. „Ty również daj Mu tyle, ile jesteś w stanie dać – zostało napisane w związku z małą jałmużną ubogiej wdowy. Zasługa nie zależy od tego, czy dasz mało, czy dużo, lecz od woli, z jaką to uczynisz”.^[3] Tak też ogień, który czasami ledwie się iskrzy, a innym razem pali się ogromnym płomieniem, daje światło i ciepło...

Dwa dni przed śmiercią powiedziała, z wielkim żalem w głosie: „Od trzech dni mój rachunek sumienia jest bardzo długi”.

W zeszytach, które zapisała, pojawiają się konkretne punkty, które służą jej jako podstawa do codziennej rozmowy z Bogiem: poniedziałek – letniość, wtorek – Różaniec, środa – Ewangelia, czwartek – pokora, piątek – synostwo Boże, sobota – umartwienie, niedziela – wiara, nadzieja, miłość i ufność.

Na każdym kroku jest widoczny wzrost życia wewnętrznego Montse i coraz większe wymagania względem samej siebie. Któregoś wieczoru zaczyna w ten sposób: „Dużo wysiłku kosztuje mnie modlitwa; moje umartwienia są bardzo nieuporządkowane”. Zawsze jednak kończy optymistycznym postanowieniem.

Kolejnym etapem są pełne miłości szczegóły, które pojawiają się w każdym momencie dnia. Kiedy rano wstaje ze snu: „Przewyciężaj siebie codziennie, od pierwszej chwili, wstając dokładnie o ustalonej porze, nie ulegając ani na chwilę lenistwu...”[4]; w porze obiadu: „Kiedy wstaniesz od stołu, nie uczyniwszy choćby jednego małego umartwienia, wiedz, że jadłeś jak poganin”[5]. W chwilach ciekawości, aby umartwić swój pełen ciekawości wzrok: „Po cóż tyle patrzeć, skoro „swój świat” nosisz we własnym wnętrzu?”.[6] Punktualność w przychodzeniu na posiłki, nie spóźnianie się do szkoły; i jeszcze jedna oznaka delikatności: nie używać windy w domu, wchodzić po schodach. W tej nieustannej walce nie pozwalała, by letniość oddaliła ją od przyjaźni z Bogiem: „Walcz z opieszałością, która sprawia, że do twojego życia duchowego wkrada się

lenistwo i niedbalstwo. – Uważaj, bo może to być początek letniości...”[7]

„Wiele razy wzdychałam do Pana Boga, mówiąc: O! Panie mój! – pisze pewnego dnia – ale w końcu poprawiłam się. Ty mi pomożesz! Dzisiaj bardzo walczyłam o to, by być zadowoloną i radosną”. A z boku podkreśliła takie postanowienie: „Za mało chęci, woli, a w konsekwencji, wyrzuty sumienia, złość i zniecierpliwienie; radość mimo wszystko! Tak! Radość!”

Następnym krokiem było skupienie uwagi na duchu poświęcenia:

„Umartwienia kosztują mnie sporo wysiłku, ale jest lepiej”. „Dzisiaj całkiem znośnie. Trochę lenistwa, brak pokoju, później przezwyciężyłam to radością”. A innego dnia: „Dużo radości i trochę złego charakteru”; a także: „ciągle dużo mi brakuje; brakuje mi tego, co nazywa się duchem umartwienia...”

Szczególną uwagę przywiązywała do walki o bycie pokorną: „Szukam samej siebie”. Czasami w jej notatkach pojawia się: „Modłę się z przyjemnością, być może szukam w ten sposób własnej satysfakcji; ostatnio idzie mi z tym trochę lepiej”.

W ostatnim okresie swojego życia, Montse żyła tak bardzo złączona z Panem, że zewnątrznie w ogóle nie było widać, że bardzo cierpi; myślała wyłącznie o innych osobach.

Któregoś wieczoru zapisała: „Mam ochotę na odpoczynek, brakuje mi oddania i poświęcenia”. Niedługo potem jej pragnienie oddawania się dla innych stało tak wielkie, że mówiła: „Modliłam się, a moja modlitwa była wynikiem pragnienia”.

Pod koniec życia walka Montse nasiliła się, wzmożła, stawała się coraz większa, jednak Montse była już silna i obok radości oraz

akceptacji bólu jeszcze oskarżała się o to, że: „za bardzo narzekałam, ale walczyłam; miałam moment zniechęcenia, ale pomimo tego była radość”.

Ostatnią rzeczą, jaką Pan jej zesłał i która wywołuje ogromne wrażenie, kiedy się czyta zapiski Montse, wyrażają te zdania napisane na kilka dni przed śmiercią: „Brak pokoju, wzburzenie, jakby sama”. W takich chwilach powtarzała nieustannie: „Najsłodsze Serce Maryi, daj mi pokój”; „Przyczyno naszej radości, módl się za nami”.

Nam, czytającym o życiu Montse, wydaje się ono być pełne pokoju: jest to życie osiągalne! Jest możliwe do naśladowania! Powiedziałabym, że warte naśladowania!

Montse, wcale o to nie zabiegając, uczy nas myśleć o tej ogromnej miłości, jaką miała Dziewica Maryja do Chrystusa. To gorące pragnienie

Montse widać było, kiedy, rozpoczynając modlitwę, zawsze wytrwale prosiła: „Przeczytajcie mi z «Drogi» coś o Miłości”. Aby podkreślić owo pragnienie miłości, stara się zapamiętać jedno ze zdań św. Teresy, które zapisuje: „Nawet jeśli mnie to kosztuje, nawet jeśli bym nie mogła, nawet jeśli bym upadła, nawet jeśli bym umarła”.

.....

[1] Św. Josemaría Escrivá, *Droga*, nr 520.

[2] Josemaría Escrivá, *Droga*, nr 205.

[3] Josemaría Escrivá, *Droga*, nr 829.

[4] Tamże, nr 191.

[5] Tamże, nr 681.

[6] Tamże, nr 184.

[7] Tamże, nr 325.

.....

pdf | dokument generowany
automatycznie z [https://opusdei.org/pl-
pl/article/biografai-monstse-cz-4-
podrozn-do-rzymu/](https://opusdei.org/pl-
pl/article/biografai-monstse-cz-4-
podrozn-do-rzymu/) (27-03-2025)